

A black and white photograph of three young girls standing in a grassy field. They are positioned in the lower left quadrant of the frame, looking towards the right. A large, leafless tree dominates the left side of the image, its branches reaching across the top. The background is a misty, open landscape under a pale sky.

**Trzy dziewczynki
Poznały się rano
Wieczorem pozostały tylko dwie
Z rękami splamionymi **krwią****



**Uznana przez Stephen Kinga
za jedną z najlepszych książek roku**

**DZIEWCZYNY,
KTÓRE ZABIŁY CHLOE
A L E X M A R W O O D**

ALBATROS

PROLOG

1986

Koc, który jest w celi, sądząc po zapachu, nigdy nie był prany. Chociaż Jade go zrolowała i wepchnęła w kąt zaraz po tym, jak ją tu przyprowadzono, w przegrzanym pomieszczeniu i tak unosi się ohydny kwaśny odór moczu i brudnego ciała. Strażniczka Magill podnosi zwinięty koc i podaje jej na wyciągniętej ręce.

– Masz to narzucić – mówi. – Na głowę, żeby nie widzieli twojej twarzy. Bo nie wolno.

To zupełnie zbędne. Miesiąc temu twarz Jade była we wszystkich gazetach, i jutro też się tam znajdzie. Patrzy z odrazą na koc. Strażniczka Magill przymruża oczy.

– Wiesz co, Jade? Jak chcesz, możesz sobie wyjść bez nakrycia. Oni wszyscy wprost marzą, żeby cię zobaczyć. A mnie to wisi.

Już mnie widzieli, myśli Jade. Wciąż gapili się na moją twarz. Była w gazetach, w wiadomościach. To dlatego każą nam co roku ustawiać się do szkolnych fotek. Wcale nie są przeznaczone dla naszych rodzin. Chodzi o to, żeby zawsze mieć pod ręką zdjęcie, które można sprzedać prasie. Żeby było coś pod nagłówek. ŚWIAT SIĘ MODLI. ZNAJDŹ NASZEGO ANIOŁKA. Albo, jak w moim wypadku: ANIELSKA TWARZ DIABŁA.

Przez otwarte drzwi słyszy wrzask. Bel wciąż krzyczy. Zaczęła, kiedy ogłoszono werdykt, a od tej pory minęło wiele godzin.

Między grubymi ścianami celi Jade słyszała tylko ciszę. Nie przebijały się przez nią żadne dźwięki: ani skowyt tłumu, ani pospieszny tupot stóp w ferworze przygotowań. Od czasu do czasu rozlegało się tylko metaliczne zgrzytnięcie zaślepki judasza albo dźwięczny huk przy zatraskiwaniu innych ciężkich drzwi; poza tym kamienna cisza, szmer jej własnego oddechu, mocny łomot serca. Kiedy strażniczka Magill otworzyła drzwi, hałas wydawał się ogłuszający, nawet tu, w suterenie: dzikie, śpiewne głosy obcych domagających się sprawiedliwości. Tłum żąda Jade. Chcą jej i Bel. Tyle wie.

Magill znów podaje jej koc. Tym razem Jade go przyjmuje. I tak każą go jej narzucić, czy jej się to podoba, czy nie. Ociera się dłonią o dłoń strażniczki, a ta gwałtownie cofa rękę, jakby skóra dziecka była powleczone trutyczną.

Bel wyje jak zwierzę schwyte we wnyki.

Odgryzłaby sobie rękę, gdyby to pozwoliło jej uciec, myśli Jade. Dla niej to jest gorsze niż dla mnie. Nie miała takiego trudnego życia jak ja.

Strażniczka Magill czeka, wykrzywia usta tak, że ich kąciki opadają w dół.

– Jak się czujesz, Jade?

Przez chwilę Jade sądzi, że to pytanie wynika z troski, ale jedno spojrzenie na twarz funkcjonariuszki przekonuje ją, że jest wręcz przeciwnie. Jade gapi się na nią szeroko otwartymi oczami. Czuję się mała, myśli. Czuję się mała, samotna, przestraszona i skołowana. Wiem, że wrzeszczą, bo chcą mnie dorwać, ale nie rozumiem, dlaczego tak mnie nienawidzą. Wcale nie chcieliśmy, żeby to się stało.

– Kiepsko, co? – pyta wreszcie Magill, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Nie jest fajnie, no nie?

Słysząc krzyki Bel, odgłosy szarpaniny w korytarzu.

– Nienienienienie! Proszę! Proszę! Nie mogę! Ja chcę do

*mamy! Mamuuusiuuu! Nie mogę! Nie zabierajcie mnie tam!
Nienienienie!*

Jade ogląda się na strażniczkę. Twarz Magill przypomina halloweenową maskę, wszystkie opadające bruzdy są czarne i czerwone. W jej gniewnym spojrzeniu jest ta sama nienawiść, którą słyszeć w głosach tłumu na zewnątrz. Jade jest winna. Teraz już nikt nie musi się zachowywać tak, jakby zakładano, że może być inaczej.

Klamka zapadła. Już nie jesteśmy „podejrzanymi”, „dziećmi w areszcie”. Teraz jesteśmy „Dziewczynami, które zabiły Chloe”. Diablicami.

Magill ogląda się, by sprawdzić, czy ktoś z przełożonych jest w zasięgu słuchu, po czym obniża głos.

– Dobrze ci tak, ty cholerna suko – syczy. – Gdyby to ode mnie zależało, przywróciłabym karę śmierci.

ROZDZIAŁ 1

2011

Martin zerka na zegarek. Prawie dziesiąta. Niedługo będzie wychodziła do pracy. Wyłączono już neony na kolejce górskiej w Funnland, rozjarzyły się halogenowe lampy łukowe, które zalewają światłem wesołe miasteczko po zamknięciu – zarówno po to, by przegonić maruderów, jak i po to, by pomóc sprzątaczkom dojrzeć kulki gumy do żucia, lepkie plamy po napojach, ketchup bezmyślnie rozsmarowany w różnych miejscach. Będzie w szatni. Jak wielu ludzi, którzy odbijają kartę, przychodzi bardzo punktualnie, a potem trochę się ociąga przed przystąpieniem do pracy. Zdejmuje cywilne ubranie i wbija się w tenisówki i fartuch.

Czuje znajomy przypływ wściekłości na myśl o tym, jak się od niego odcięła. Zero odpowiedzi, zero kontaktu, tylko pusta cisza, dzień po dniu. Czy chociaż o nim myśli? Opuścił na trzy godziny, ale dłużej już tego czekania nie zniesie. Bierze milczący, zniechęcony telefon i wybiera jej numer. Wstukuje tekst: *odpowiedz proszę, nie ignoruj mnie*. Gapi się na ekran, kiedy aparat przetrawia i wysyła wiadomość.

Na ulicy pod oknem zatrzymują się uczestniczki wieczoru panieńskiego. Poznaje to po tym, że ryczą na całe gardło piosenkę *Going to the Chapel*. Zawsze śpiewają właśnie to albo *Nice Day*

for a White Wedding, w kółko sam refren, albo *Here comes the bride, short, fat and wide*. Istnieje milion piosenek ślubnych, ale dziewczyny, które bawią się na wieczorach panieńskich, nie wykraczają poza ten skromny repertuar.

Wrzask na ulicy, a potem chóralny rechot. Ktoś się przewrócił. Martin podnosi się z łóżka i podchodzi do okna. Przez szparę między zasłonami wygląda na zewnątrz. Osiem kobiet w różnym stadium upojenia alkoholowego. Panna młoda – welon i tabliczki z literą L, jak nauka jazdy – leży na ziemi, bo wywaliła się za sprawą piętnastocentymetrowych obcasów i tłustego tyłka. Przewala się po chodniku w obcisłej miniówce, brzuch wyłazi jej nad paskiem, a cycki wylewają się z dekoltu, podczas gdy dwie koleżanki ciągną ją za blade, galaretowate ramię. Pozostałe kumpelki stoją na chodniku, wytykają ją palcem, zataczając się i wyjąc ze śmiechu. Jedna z nich – szorty, wielkie kolczyki w kształcie kółek i top w poziome paski, bez ramiączek – nagabuje o ogień facetów omijających wężykiem młóćącą rękami pannę młodą.

Pasiasta trafia na żyłę złota. Banda facetów – miasto jest okupowane w każdy weekend przez takich młodych byczków, którzy nie mają paszportów, zezwoleń kuratorów albo nie stać ich na to, by zarzygiwać sangrią ciepły hiszpański beton – zatrzymują się, przypalają jej papierosa, nawiązują rozmowę. A raczej zaczynają się nawzajem przekrzykiwać. Pod oknem Martina ludzie porozumiewają się wyłącznie wrzaskiem, bo mają uszy zniszczone dudniącymi basami, słuch przytępiony przez alkohol, ecstasy i kokainę, która teraz kosztuje chyba mniej niż paczka fajek. I nie trzeba się ruszać z domu, by zażyć dragi.

Panna młoda wreszcie staje na nogi. Kuleje albo udaje i wspiera się na ramieniu jednego z byczków. Martin patrzy, jak ręka mężczyzny pełźnie w dół obcisłej spódniczki, by pomalutku wślizgnąć się pod nią. Panna młoda głośno chichocze, bez

przekonania odgania klapssem natrętną dłoń, zachęcająco trzepocząc rzesami. Ręka powraca. Ruszają w stronę nocnych klubów.

Pasiasta pozostaje w tyle, opiera się o okno wystawowe i rozmawia z facetem od zapalniczki. Zatacza się z boku na bok, chyba nie widzi, jak jej koleżanki znikają za rogiem. Podciąga top, podnosząc opadający, spłaszczony biust, i odgarnia lakierowane włosy z oczu. Uśmiecha się kokieteryjnie do mężczyzny, lekko napiera na jego ramię. Tak przebiega współcześnie podryw. Nawet nie trzeba już kupować dziewczynie drinka. Wystarczy, że pożyczysz jej zapalniczkę, jest twoja.

Martin opuszcza zasłonę i powłócząc nogami, wycofuje się do pokoju. Czuje, jak dopada go depresja. Nie rozumie świata. Czasami czuje się tak, jakby ci ludzie specjalnie wybierali drogę koło jego mieszkania, by sobie z niego szydzić. Żeby przypomnieć mu o zabawie, która go omija, o tym, że te błyszczące od cekinów, roztańczone stworzenia przeszłyby na drugą stronę chodnika, gdyby próbował się do nich przyłączyć. Whitmouth go rozczerowało. Kiedy umarła matka, a on mógł już wybrać sobie miejsce pobytu, myślał, że świat się teraz przed nim otworzy, życie wreszcie potoczy się zgodnie z jego wolą, lecz okazało się, że tylko obserwuje innych bawiących się ludzi, jakby oglądał to w telewizji.

Uważałem, że to bajkowa kraina, myśli, włączając gołą żarówkę na suficie. Kiedy byłem dzieckiem. Gdy przyjeżdżaliśmy tu często z Bromwich. Jak wiele rodzin. Podwieczorki i zjeżdżalnia na molo, najwyższa budowla w okolicy. To dlatego tu wróciłem... te wszystkie miłe chwile, te wspomnienia, cała ta nadzieja. Teraz ledwie mam śmiałość spojrzeć na wejścia do mijanych sklepów, w obawie że zobaczę podciągnięte kolana Linzi-Dawn, a pomiędzy nimi spuszczone dżinsy Keifera, który ją posuwa, a ja znów wyłączony, nigdy niechciany, zawsze podglądający.

Jeszcze nie odpowiedziała. Martina przechodzą ciarki, kiedy gapi się na pusty wyświetlacz. Za kogo ona się ma?

Rzuca telefon na łóżko, włącza telewizor, patrzy na złe wiadomości przesuwające się na pasku BBC. Cholera, Jackie. Nie masz prawa mnie tak traktować. Skoro zamierzasz okazać się taka jak cała reszta, dlaczego udawałaś, że jesteś inna?

Kolejny wrzask na ulicy. Martin maksymalnie pogłusnia telewizor. Wściekłość spowodowana przez odrzucenie wpęła mu pod skórę; niewidzialna, nieusuwalna. Przecież wystarczy tylko, by odpisała. Nie chce wychodzić, ale jeśli mu nie odpowie, będzie musiał. Matka zawsze go zapewniała, że w życiu najważniejsza jest wytrwałość. A on wie, że jest najwytrwalszy ze wszystkich.

ROZDZIAŁ 2

Amber Gordon raz w tygodniu sprząta szafkę z rzeczami zaginionymi. To jej ulubione zajęcie. Lubi związaną z tym staranność, ostateczność, nawet jeśli oznacza ona po prostu stwierdzenie, że jeśli ktoś nie wrócił po swoją własność przez dziewięć miesięcy, to już nie przyjdzie. Sprawia jej przyjemność ciekawość, spokojne poczucie, że węszy w życiu innych ludzi, kiedy ze zdziwieniem ogląda różne rzeczy – sztuczne szczęki, kolczyki z brylantami, dzienniki – których zaginięcia nie zauważyli albo uważali, że nie warto po nie wracać. Najbardziej jednak lubi rozdawanie prezentów. Dla personelu sprzątającego z Funnland niedzielne wieczory są szansą na wcześniejszą Gwiazdkę.

Tego wieczoru połów jest dobry. Pośród zapomnianych parasolek, plastikowych torebek z pamiątkowymi kamykami, breloczków do kluczy z napisem „Prezent z Whitmouth” trafiają się prawdziwe skarby. Połączana jarmarczna bransoletka z wisiorami: serduszka, amorki dyndają pomiędzy kawałkami kamieni półszlachetnych. Odtwarzacz MP3 – taniocha, nie jakiś bajer z dotykowym ekranem, ale działający, pełen nagrań. Wielka torebka z żelkami Haribo. I karta telefoniczna na rozmowy międzynarodowe, jeszcze nierozpakowana i nieaktywowana. Na

jej widok Amber się uśmiecha. Wie, kto z niej skorzysta i zadzwoni do domu, by odbyć długą, ważną rozmowę. Dziękuję, nieznajomy poszukiwaczu zabawy, kimkolwiek jesteś, myśli. Prawdopodobnie o tym nie wiesz, ale uszczęśliwisz dziś pewnego człowieka z wyspy Saint Lucia.

Zerka na zegarek i widzi, że jest już spóźniona na przerwę. Zamyka szafkę, wrzuca prezenty do torby przewieszanej przez ramię i idzie szybko do kantyny przez zalany jasnym światłem teren lunaparku.

. . .

Moses znów pali. Dla niego to rodzaj zabawy. Wie, że ona wie – teraz, kiedy już nigdzie nie wolno palić, jeden sztach w pomieszczeniu jest tak łatwy do wykrycia jak ślad szminki na kołnierzyku – że to jego sprawa. A jednak i tak lubi to sprawdzać, naginać zasady i patrzeć, co się będzie działo. Zawarli w tej sprawie milczący rozejm. Amber czuje, że są utarczki słowne, które warto prowadzić, i takie, na które szkoda tracić oddech, a tak jest w tym wypadku.

Zresztą, Moses jest dobrym pracownikiem. Zanim obsługa kawiarni zjawi się rano, ich teren będzie lśnił czystością i emanował chemiczną woń cytryny.

Kiedy otwiera drzwi, dostrzega, że Moses wzdryga się i wrzuca niedopałek do stojącej przed nim otwartej puszką po coli. Amber tłumy uśmiech, kiedy podwładny przybiera wyraz zranionej niewinności, a jednocześnie udaje, że jej nie zauważył. Jak zawsze znacząco patrzy mu w oczy i posyła porozumiewawczy uśmiech. W życiu wciąż jest się zamieszanym w jakieś machlojki, a ona odkryła, że gdy się jest szefem, tym bardziej się w nich uczestniczy.

Niewiele z tego, co dzieje się w Funnland, umyka uwadze Amber. W pomieszczeniu jest pełno ludzi, których jednak nie

upomina za drobne uchybienia. Kiedy odzywa się telefon Jackie Jacobs, cała robota staje, ale za to Jackie podkręca wszystkich nieustannymi uwagami z podtekstem seksualnym, które bez przerwy płyną z jej ust pomiędzy jednym a drugim telefonem. Blessed Ongom każdej nocy przychodzi do kawiarni pierwsza, a wychodzi ostatnia, a do tego pracuje tylko w połowie tak ciężko jak jej koleżanki i koledzy. No i oczywiście Moses o żołądku robota. Można na nim polegać, kiedy chodzi o sprzątanie zanieczyszczeń po klientach, które mniej odpornych doprowadzają do łez.

Pomieszczenie jest zatłoczone. Wspólna przerwa na herbatę to rytuał, z którego żaden z tych nocnych pracowników za nic w świecie by nie zrezygnował. Nawet nowi, nawet ci, którzy mówią po angielsku tak słabo, że muszą się porozumiewać za pomocą uśmiechów i gestów.

Zeskrobywanie przez całą noc świadectw zabawy innych ludzi to ciężka harówka. Amber dobrze o tym wie. Jeśli krótka nasiadówka i trochę wczorajszych pączków czynią sprawę znośniejszą, nie widzi powodu, by gonić podwładnych do roboty. Jeśli tylko wszystko jest wykonane przed zakończeniem zmiany o szóstej nad ranem, nie wtrąca się do tego, jak personel planuje sobie pracę. Przecież Suzanne Oddie ani reszta zarządu nie zjawia się u nich ze stoperami i podkładkami na dokumenty, skoro mogą sobie leżeć otuleni pościelą z najlepszej egipskiej bawełny. To wielka zaleta pracy w nietypowych godzinach: jeśli robota jest wykonana, nikogo nie obchodzi, kto ani jak się tym zajmuje.

Mosesowi rzadnie mina, a w jego ciemnych oczach pojawia się zwątpienie, kiedy Amber rusza w kierunku jego stołu. Myśli, że w końcu jednak zamierzam go obsztorcować, dociera do niej. Chociaż znamy się od lat, to teraz z powodu mojego awansu traktuje mnie – jak oni wszyscy – z pewną podejrzliwością.

Amber uśmiecha się i widzi, że jego nieufność rośnie. Zmusza się do śmiechu, choć czuje się lekko urażona.

– Wszystko w porządku, Moses! – woła uspokajająco. – Mam coś dla ciebie. Dociera do jego stolika, wyjmując kartę telefoniczną z torby i podaje mu ją. – Wieczór rzeczy znalezionych – mówi. – Jest na tym chyba ze dwadzieścia funtów. Pomyślałam, że może zechcesz zadzwonić do babci.

Podejrzliwość znika, zastępuje ją głębokie, ciepłe zadowolenie. Babcia Mosesa, mieszkająca w Castries na Saint Lucii ostatnio zachorowała, prawdopodobnie długo już nie pożyje. Amber wie, że Moses nie wytrząśnie pieniędzy, by polecieć na jej pogrzeb, ale przynajmniej ta ostatnia rozmowa telefoniczna może pomóc mu znieść stratę.

– Dziękuję, Amber – mówi Moses i rozpromienia się w białym szerokim uśmiechu. – Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczny.

Amber cmoka, mierzwi sobie włosy.

– Nie ma za co – rzuca niedbale. – Nie moja strata. – Odchodzi.

Dobrze wie, jak cała reszta, że to nie całkiem prawda. Jej poprzedniczka traktowała rzeczy znalezione jako prywatną premię. Ale ona by tak nie mogła. Jeszcze nigdy w życiu nie zarabiała tyle co teraz i czułaby się okropnie, pozbawiając tych miłych upominków ludzi otrzymujących minimalne wynagrodzenie. Oni nie są jedynie jej pracownikami, są też sąsiadami. Przyjaciółmi. Gdyby trzymała się od nich z dala w pracy, wkrótce omijaliby ją z daleka na ulicy. Daje bransoletkę Julie Kirklees, chudej osiemnastolatce, której mocny gotycki makijaż często pokrywa, jak podejrzewa Amber, podbite oczy, po czym podchodzi do lady.

Nalewa sobie herbaty z dużego termosu i wysypuje dwie porcje cukru. Omiata wzrokiem towar wystawiony w lodówce i na talerzach przykrytych kloszami, które stoją na górze. Ta praca ma niewiele plusów, ale jednym z nich jest niemal nieograniczony dostęp do resztek śmieciowego żarcia. Amber podejrzewa, że

niektórzy z jej pracowników żywią się głównie tymi podeschniętymi hamburgerami, letnimi parówkami, pasztecikami, zimnymi frytkami, a zupa pomidorowa z puszki i jabłka w cieście to jedyne spożywane przez nich dodatki owocowo-warzywne.

Właściwie to nie jest zbyt głodna. Chce po prostu przeciągnąć przerwę pomiędzy rozliczaniem faktur a rozpoczęciem sprzątaniam, które rezerwuje wyłącznie dla siebie, bo nie wierzy, że ktoś może wystarczająco dobrze wywiązać się z tego zadania. Przebiega wzrokiem talerz z babeczkami i wielkimi mięknącymi ciastkami z kawałkami czekolady. Zza pleców dobiega ją głos Blessed, która rozwodzi się nad czymś z wyrafinowanym afrykańskim obrzydzeniem.

– No, nie wiem... Co oni sobie myślą. A ich znajomi... Czy ci ludzie to zwierzęta?

Amber wybiera kanapkę z sałatą i szynką, z wczorajszą datą przydatności do spożycia. Będzie gliniasta w środku, bułka o smaku tektury, ale nie ma nic innego do wyboru z pikantnych rzeczy, a na słodkie nie ma ochoty.

– O co chodzi, Blessed? – pyta, obracając się do stolika.

Jackie dopija kawę z kubka.

– Blessed znów trafiła na balasa.

– Co? – Amber siada i zaczyna odwijać kanapkę. – Na karuzeli z gondolkami?

Blessed kiwa głową, krzywi się.

– Na samym środku siedziska. Nie mam pojęcia, jak im się to udaje. No bo przecież muszą ściągnąć spodnie, żeby kucnąć.

Na twarzy Jackie pojawia się wyraz zadumy.

– Ciekawe, czy robią to, kiedy karuzela się obraca?

– Przykro mi, Blessed – mówi Amber. – Dasz sobie z tym radę? Czy chcesz, żebym...?

– Nie – wpada jej w słowo Blessed. – Na szczęście Moses już się tym zajął. Ale dziękuję. Doceniam propozycję.

– Dzięki Bogu za Mosesa – dopowiada Jackie. Leżący przy jej łokciu telefon budzi się z podskokiem do życia, przesuwając się po stole.

– Dobry Boże – odzywa się Tadeusz, wyrwany z nocnego odrętwienia. – Nie wierzę. W pół do trzeciej nad ranem? Do kogo dzwonią o tej porze? Kobieto, jesteś nienasycona!

Jackie cmoka z niezadowoleniem.

– Chciałbyś. – Podnosi telefon, krzywi się. – Ożeż kurwa.

Amber wgryza się w kanapkę. Ciepła, rozmiękła, dziwnie kojąca.

– Co jest?

Jackie podsuwa Amber telefon. Tadeusz odczytuje jej przez ramię tekst na wyświetlaczu. *Gdzie jesteś? Nie masz prawa tak robic. Zadzwon!*

– Ktoś jest napalony – mówi.

– Raczej ostro pojebany – prycha Jackie.

Tadeusz spogląda na nią z szacunkiem.

– Prześladowuje cię jakiś zbok?

Jackie gwałtownie podnosi głowę znad wyświetlacza.

– Czy dzięki temu moja wartość rynkowa rośnie, Tad?

Tadeusz wzrusza ramionami. Przywykł do tego, że jego szczupła sylwetka i wilczy urok oznaczają łatwe przyciąganie, trudne odpychanie. Blessed wygląda na zaniepokojoną.

– Co to za facet?

– Oj, taki tam... kretyn. Poszłam z nim raptem na dwie randki.

I nie tylko, myśli uszczypliwie Amber. Ale nic nie mówi, a jedynie przesuwając telefon z powrotem do właścicielki. Dawno temu nauczyła się nie osądzać. Przynajmniej na głos.

– Nie odpisujesz, prawda? – dopytuje się Blessed. – Nie powinnaś mu odpowiadać, Jackie.

Jackie kręci głową.

– Już nie. Głupio zrobiłam, że na początku byłam trochę za

miła, ale teraz już nie. Pokręcony palant. Umówiłam się z nim drugi raz tylko dlatego, że było mi go żal, bo za pierwszym razem mu nie stanął.

– Jackie! – protestuje Blessed. Nie znosi takich gadek. A jednak zawsze siada przy stoliku razem z Jackie. – Nie powinnaś. Odpowiadać. Musisz uważać. Bo wiesz, są tacy, co zabijają kobiety. Wiesz przecież. Musisz być ostrożna.

– E tam – rzuca Jackie. – On nie jest jakimś tam cholernym seryjnym mordercą. To żalosny onanista.

– Nie powinnaś sobie z tego żartować – mówi Blessed.
– W tym roku w Whitmouth zginęły już dwie dziewczyny, tuż przy plaży. A ty nic nie wiesz o tym mężczyźnie. Właściwie nic.

– Nie żartowałam. Przykro mi.

Blessed kręci głową.

– No i nie żartuj. Nie rozumiem, dlaczego ludzie w ogóle się tym nie przejmują.

– Bo te dziewczyny nie były stąd – mówi Tadeusz. – Prosta sprawa.

– To okropne – oburza się Blessed. – Jeśli tak myślisz.

– Ale tak jest. Nikt z miejscowych nie znał żadnej z tych dziewczyn, więc to się nie liczy.

– A jednak były ludźmi – podkreśla Blessed.

– Owszem – przyznaje Jackie. – Tyle że nie miejscowymi. Gdyby chodziło o osoby stąd, balibyśmy się wychodzić z domu. Dzięki Bogu, one były obce, przyjezdne.

Blessed kręci ze smutkiem głową.

– Ależ ty jesteś zimna.

– Jestem realistką – protestuje Jackie.

– No ale ile to już trwa? – dopytuje się Blessed. – Ten mężczyzna...

Jackie wzdycha i odkłada telefon.

– Jezu, wieki całe. Ile to będzie, Amber? Jakieś pół roku?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Amber. – Skąd niby mam wiedzieć?

Mogłaby przysiąc, że Jackie robi nadąsaną minę.

– Przecież to twój znajomy.

To coś nowego.

– Niby kto?

– Martin. Bagshawe.

Brzmi znajomo, ale trudno jej dopasować nazwisko do twarzy. Amber kręci głową i marszczy brwi.

– Co to za jeden?

– Z urodzin Vica.

– Przecież to było tyle miesięcy temu.

– No.

Amber znów kręci głową. Nie pamięta zbyt wiele z tych urodzin. Zwłaszcza tego, co robili inni ludzie.

– Wiem. Mówiłam ci, że nie mogę pozbyć się tego ohydneho szczurka – ciągnie Jackie. – Skąd Vic wytrzasnął takiego porąbanego kumpla?

Amber szpera w pamięci. Sobotni wieczór, Cross Keys. To nawet nie było przyjęcie urodzinowe, tylko spotkanie w pubie ze znajomymi na zasadzie „będziemy tam, wpadnijcie, jak macie ochotę”. Vic był w dobrej formie, przez cały wieczór stał z ręką przewieszoną przez jej ramię, popijał jacka danielsa z colą i nie powiedział ani słowa, kiedy zamówiła trzeci kieliszek białego wytrawnego wina. Miły wieczór, fajna zabawa. Mgliście przypomniała sobie, że Jackie późnym wieczorem uwiesiła się na jakimś facecie, takim cherlaku, zdaje się, że miał na sobie ortalionową kurtkę. Ortalionowa kurtka w sobotni wieczór. Jackie miała chyba na oczach gogle wykonane przez Heinekena, skoro poleciała na kogoś takiego.

– To nie wina Vica, Jacks. Przecież z Cross Keys nie można nikogo wyprosić. Ten facet był po prostu bywalcem pubu.

– Nie – zaprzecza stanowczo Jackie. – Powiedział, że Vic...
Amber nie może powstrzymać uśmiechu.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby spytać Vica? – wpada jej w słowo.

– No wiesz, ktoś mógł mnie przecież ostrzec...

– Gdybyś spytała, pewnie byśmy to zrobili. Vic prawdopodobnie nawet nie wie, jak on się nazywa. To jeden z tych dziwnych, poznawanych w pubach facetów, od których trudno się odczepić.

– A widzisz – wtrąca się Blessed. – Właśnie o to mi chodzi. Musisz być ostrożniejsza. Nie możesz... po prostu podrywać mężczyzn w pubach.

Jackie patrzy na nią z ukosa.

– Jasne. Kościół to nie moja scena, Blessed. Ale dzięki za troskę. Jest, jak jest. Jezu, zagadałam do niego tylko dlatego, że zrobiło mi się go żal.

– Masz złote serduszek, Jackie – kpi Tadeusz.

– No cóż, nie wszystkie jesteśmy takimi fartownymi zdzirami jak Amber. Nie na każdą czeka w domu uroczy ciepły Vic.

– Powinnaś powiadomić policję – nie daję za wygraną Blessed.

– Poważnie. Przecież ten gość cię nęka.

Jackie się śmieje.

– Taa. Jasne.

– No, naprawdę. Jeśli cię to niepokoi, powinnaś się zwrócić po pomoc.

Amber często stwierdza ze zdziwieniem, że nie zna nikogo, kto pokłada tak niezachwianą wiarę we władzę, jak ta kobieta, która pierwsze dwie trzecie swojego życia spędziła w Ugandzie. Blessed wyłoniła się z subsaharyjskiego piekła z kręgosłupem moralnym, który zawstydzają obecnych sąsiadów. Amber przypomina sobie ostatni upominek i sięga do torby. Pochyliła się do Blessed i zniża głos, podczas kiedy pozostali toczą dalej

rozmowę.

– To było wśród rzeczy znalezionych – mówi i z namaszczeniem podaje jej MP3.

– Co to? – pyta Blessed. – Ja tego na pewno nie zgubiłam.

– Odtwarzacz MP trzy – wyjaśnia Amber. – Pomyślałam, że mógłby się przydać Benedickowi. Szkoda, że to nie iPod, ale działa podobnie.

– Naprawdę? – Blessed jest oszołomiona. – Ale to chyba jest warte mnóstwo forsy.

Amber znów bagatelizuje własną wspaniałomyślność. Wie, jak trudno jest Blessed jako samotnej matce związać koniec z końcem, wie, że jej syn nie ma wielu gadżetów, które jego rówieśnicy uważają za coś oczywistego.

– Chyba nie. Nie wiem. Ale ma już wgraną muzykę, popatrz. Przynajmniej na początek.

– Ja... – Blessed patrzy na nią załzawionymi oczami. – Nie wiem, co powiedzieć...

– To nic nie mów. Po prostu to weź.

– Czemu nie zmienisz telefonu? – Tadeusz bierze aparat Jackie i zaczyna przeglądać menu.

– Dlatego – parska Jackie. – Bo mnie nie stać.

– No tak...

Tu każdy rozumie taki argument. Nie pracuje się po nocach, sprzątając po innych ludziach, jeśli ma się coś innego do wyboru. Tadeusz wciska opcję „Odpowiedz” i zaczyna wstukiwać litery.

– Co robisz? – Strach w głosie Blessed jest wręcz namacalny.
– Tadeusz! Przestań!

On dalej bębni w klawisze.

– Mówiłam, żeby nie odpowiadać. Jak odpowiesz, dasz mu nadzieję, że jest między nimi jakaś więź. Ona musi go ignorować. To jedyny sposób.

– Będzie dobrze. – Tadeusz podnosi wzrok, posyła jej uśmiech.

– Oddaj mi telefon – mówi Jackie.

Tadeusz wciska „Wyślij” i podaje jej aparat.

– Cholera – mówi Jackie. – Coś ty zrobił?

Stuka w klawisze, przechodzi do skrzynki z wysłanymi wiadomościami. Otwiera wiadomość i zaczyna się śmiać.

– O co chodzi? – pyta Blessed. – Co tam jest?

– „Twoja wiadomość nie może być dostarczona, bo numer został wyłączony”. Genialne. Jesteś geniuszem.

Tadeusz odsuwa się od stołu i z zadowoleniem splata ręce na piersi.

Aparat znów wibruje. Jackie czyta głośno tekst:

– „Sprawdzam”. – Zaczyna stukać w klawisze.

Amber patrzy na zegarek. Dochodzi trzecia. Zostało jeszcze sporo do roboty, a trzeba zdążyć przed świtem.

– Zbieramy się – mówi. Wstaje, by dać znak innym. – Czas leci. Trzeba wracać do pracy, bo utkniemy tu na całą noc.

Personel odbiera sygnał i wszyscy ruszają się z miejsc. Siedzący pod oknem Moses ostentacyjnie skręca papierosa, by zapalić go na dworze. Wszyscy już są na nogach. Tadeusz ma dziś dyżur. Zbiera kubki i powoli odnosi do koszy w kuchni.

– Jasne. – Jackie wzdycha. – Taki już nasz los.